Rok 1894. We Lwowie Poniedziałek dnia 22 Października Nr. 41.

# Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO”

pod redakcją *Stanisława Rossowskiego.*

## Młodzieży polskiej

urządzającej wieczorek ku czci Tadeusza Kościuszki — sali ratuszowej dnia 16 paźdz. 1894.

Polska Młodzi — Ty złota —
Ja ku tobie dziś spieszę —
I Twym jasnym widokiem
Ja się krzepię i cieszę,
W Tobie bowiem jest siła,
W Tobie przyszłość narodu,
A ty, Polsko — Ty wierna —
Nie uczynisz zawodu!

Polska nasza rozdarta,
Ale duchem jedyna —
Słucha głosem złorzeczeń,
Które płyną z Warcina,
Lecz ty nie drżyj na głos ten,
Jak i nie drżyj, gdy cary
Chcą pozbawić nas reszty
Ojców części i wiary.

Bo kto walczy oszczerstwem —
I kto zemstą pijany,
Ten pod dziejów wyrokiem
Padnie zbrodnią skalany —
I poniszczy Bóg mocny
Wszelkie dzieła szatana,
Byle tylko żyć w cnocie,
I nią zwalczać tyrana.

Ucz się tedy i pracuj
I w Kościuszke wpatrzona —
Porwij lud ten siermiężny.
W Twoje silne ramiona,
A gdy ujrzy, że jesteś
Druchem jego i bratem,
Pójdzie z Tobą i stwierdzi
Swą żywotność przed światem.

O, i nowe promienie
Szle nam nasza Wystawa,
A — choć gasną — powrócą —
A to wiarą napawa,
Że co życiem raz trysło,
To nie zginie, lecz nowe
Znów da życie, gdy w serca
Nie zapadło jałowe.

Polska Młodzi — Ty wierna —
Ja ku Tobie dziś spieszę,
I Twym jasnym widokiem,
Ja się krzepię i cieszę —
W Tobie bowiem jest siła,
W Tobie przyszłość narodu,
A ty Polsce — Kościuszce
Nie uczynisz zawodu.

---

## CZOŁEM!

Wierszyk poświęcony Księciu Adamowi Sapieże jako prezesowi komitetu Wystawy.

Mości książę, Ty, potomku
Czczonych w dziejach Gedyminów.
Co nadali Polsce królów,
Sławnych z wielkich cnót i czynów,
W Tobie widzi, kto ocenia
Sprawiedliwie twoje czyny,
Męża, który silną dłonią
Dźwiga naród swój z ruiny.

Możnym jesteś, mości Książe,
Niestrudzony, niespożyty,
Gdyż masz ducha, który wzlata
Zawsze śmiało pod zenity,
Zkąd ogarnia — jako anioł
Stróż ten Polski — naród cały,
Co pod Twoją wodzą — Książę,
Dożył świeżo dni swej chwały.

Święta bowiem narodowe —
Ta Wystawa żywa nasza,
Jest przeważnie dziełem Twojem —
Więc się nie dziw, że rozgłasza
Każdy, komu Polska droga,
Twe zasługi, pracy chwałę,
Której drogę torowały
Twoje, Książę, loty śmiałe.

Toż się nie dziw, że stolica,
W której murach dzieło Twoje,
Dar najwyższy Ci złożyła —
Że wróg nawet stacza boje
Z Tobą — z nami — za to jeno,
Żeśmy śmieli tą Wystawą —
Śmierci wiecznej przekazani —
Znów się okryć życia sławą.

To też nie dziw, Mości Książę,
Że i nasi z stanowiska,

Jako ja dziś — ku czci Polski —
Na Twą pracę, patrząc z bliska,
Wołam pełen uwielbienia —
Wraz z moimi braćmi społem;
Księciu Panu, co hetmanił
Narodowi: Czołem! Czołem!

*Adolf Stroner.*

# W Japonji.

Upał był nieznośny, pomimo że według mego europejskiego kalendarza przypadł miesiąc luty. Kazałem mojemu *kuli* stanąć nad brzegiem małej rzeczki *Tuang-Tso.* Powóz, *żinrikiska,* który mnie przywiózł, zatrzymał się posłusznie. Wysiadłem.

Olbrzymi, jedwabny, czerwony parasol opiekuńcze swe skrzydła szeroko rozwarłszy nad moją głową, zabezpieczał od piekących promieni słońca. Szedłem zwolna, podziwiając cuda bujnej wegetacji japońskiej i ciemny błękit sklepienia niebios. Myśli moje goniły het, tam, daleko, przeskakując mur chiński i zatrzymując się w ukochanej ojczyźnie, tak ztąd odległej... Widziałem pola okryte śniegiem, czarne konary z liści ogołoconych drzew, włościan naszych ciepłemi kożuchami okrytych... Wtem, żebrak, *kotsedzikis,* idący brzegiem rzeki, prawie nagi, wyciągający do mnie rękę, przerwał moje marzenia.

Szedłem dalej. Spostrzegłszy mały pagórek zielenią okryty i osłonięty szerokiemi liśćmi jakiejś dziwnej rośliny — usiadłem.

Wszystko się do mnie uśmiechało. Rzeka tylko pieniła się gniewna, nie wiedzieć o co, tuż pod memi stopami, pluskając o kamień sterczący lecz dalej płynęła już cicho, spokojnie, bez żadnej zmarszczki. Dziwne jakieś ptaki jaskrawe szczebiotały nad głową.

Tak upłynęła godzina.

Rozkoszne to było *Far niente.*

Nagle odgłos kroków zwrócił moją uwagę. Poznałem stąpanie drewnianych trzewików, w rodzaju stołeczków *guetta* zwanych.

Zbliżała się młoda japonka...

Świeża, rumiana, zamyślona, odziana była ową stereotypową suknią fałdzistą *ktrimonem* zwaną. *Obi,* pas szeroki, jedwabny, związany na plecach fantastycznym węzłem, dowodził, że nieznajoma była jeszcze dziewczyną. Przekonywały o tem nadto brwi, czarne, gęste, wyjątkowo — mimo zwyczaju ogólnego — niemalowane; wiadomem mi zaś było, że japonki po zamążpójściu brwi golą.

Spostrzegłszy mnie, zawstydziła się, spuściła oczy i szerokim rękawem twarz sobie zasłoniła

Pozdrowiłem ją uprzejmie w języku japońskim.

Czarne bystre oczy, spojrzały na mnie ciekawie.

— Dokąd tak spieszysz? zapytałem.

— Wyszłam z domu mego mego ojca, poskarżyć się naturze...

— Za co?

— Za krzywdy, jakich doznaję i zapytać wyrocznię, jaki mnie los czeka — odrzekła śliczna Japonka.

— Jakież to krzywdy i gdzie jest ta wyrocznia? spytałem zaciekawiony.

Usiadła przy mnie, patrząc spokojnie jak węgiel czarnemi oczyma przed siebie i poczęła opowiadać.

Zwyczajem japońskim, córki, wychodząc za mąż, zamiast przynosić mężowi posag, zapewniają rodzicom swym zysk. Był to rodzaj sprzedaży. Rodzina oddawała córkę więcej płacącemu.

Ojciec mojej Japonki był ubogi, ona biedaczka skazana na zwykły los kobiet japońskich, godziła się prawie z myślą sprzedaży. Mowy o sercu tam być nie mogło, wszakże kobieta tam rzeczą tylko sprzętem.

Pewien książę, *daimior,* polecił swym sługom kupić ją, zamierzał z niej zrobić *makake* tj. jednę ze swych pobocznych żon... Ojciec jej uważał to za zaszczyt lecz ona rozpaczała.

— Więc pojmujesz jak jestem nieszczęśliwą!..

I rozłakała się...

Spojrzałem na nią zdziwiony.

Japonki nie są zbyt sentymentalne Zkąd się u niej wzięło uczucie i poczucie?

Trzymała w ręku dwa kawałki bambusu w kształcie rogu, wydrążonego i wzdłuż przeciętego

— Co to jest? spytałem.

— Wyrocznia *Kao tsö* odrzekła. Tyś obcy nie znasz tego.

— Wytłumacz zatem.

— To bardzo proste. Bierze się do każdej ręki jednę z tych dwóch części i rzuca się — *tan-kao.* Jeżeli obie części *kao-tsö* upadną grzbietem, tj. stroną wypukłą do góry, wyrocznia wyrzekła *yin-kao,* jeżeli upadną grzbietem do ziemi, *yan-kao,* w obu razach odpowiedź jest nieprzychylna. Jeżeli jednak obie połowy *kao-tsö* upadną odmiennie, wyrocznia dała odpowiedź przychylną, *men-kao.*

— Spróbuj — rzekłem do niej

Rzuciła...

Wyrocznia dała odpowiedź nieprzychylną.

Japonka zalała się łzami...

— Spróbuj ty! rzekła nagle do mnie.

Rzuciłem...

Obie połowy upadły odmiennie.

— O tyś szczęśliwy!

Słońce miało się ku zachodowi. Czerwona tarcza złociste rzucała promienie. odbijając się

mirjadami kolorów w ciemnem łożysku rzeczki. Ptaszki śpiewały uporczywie, a spokojna woda płynęła cicho, pluskając tylko o ów sterczący uporczywie kamień...

Jakże ona była śliczna!...

Czarne oczęta tak sprytnie błyszczały...

Nie wiem, jak się to stało trzymałem Japonkę w objęciach i pocieszałem ją. Gładziłem jej krucze włosy i pocałunkami łzy ocierałem...

— O, tyś dobry — mówiła słodko — nie dozwól mi być *makake.*

— Nie, droga, kupię cię, dam ojcu twemu więcej niż daje *daïmior* — będziesz moją.

— O! drogi...

Usta nasze złą. zył pocałunek...

Ptaszki ciągle spiewały i woda wciąż pluskała o sterczący zawzięcie kamień.

Nagle, straszny łoskot dał się słyszeć...

Japonka zerwała się z przerażeniem.

— Mój ojciec! zawołała.

Wielkim był zamach bambusu, który spoczął na mej głowie.

— W oczach mi się zaćmiło.

Krzyknąłom i zbudziłem się.

Zdziwiony, poznałem swój pokój, w ręku trzymałem numer jakiejś gazety.

Usnąłem nad artykułem o wojnie Chin z Japonią!...

. . . . . . . . . . . . . . . . .

I mimowoli żal mi było mojej *makake*...

*Jan Kazimierz Zieliński.*

---

# Gdzie szczęście?

**Rzecz z epoki Dyoklecjana.**

napisał

TADEUSZ GRABOWSKI.

Miała lat szesnaście.

Z pod długich, jasnych jej rzęs świeciły oczy koloru nieba na wschodzie. Drobną o rysach greckiej kamei twarzyczkę otaczały sploty włosów złotawych, związanych zwykle z tyłu głowy o profilu helleńskiej Afrodyty. Gdy mówiła, głos jej brzmiał czysto, dźwięcznie jak jęk ateńskiej cytry. Patrzący na nią nie mogli nigdy napaść swych oczu pięknością jej wysokiego o atłasowym połysku czoła, świeżością róż jej policzków, uroczym blaskiem słodko promieniejących jej oczu. Miała wzrost średni i drobne artystycznie rzeźbione kształty. Okalające cudną jej postać ulubiona jej błękitna tunika, spięta na wązkiem toczonem ramieniu świetlanym ametystem, dodawała młodziutkiej Flawji niesłychanie pociągającego wdzięku, który był przedmiotem powszechnego uwielbienia i zazdrości młodzieży obojej płci, bywającej w cichym, poważnym jej domku.

Inaczej jednak od Flawji, przyjmującej rozkosznym, na pół dziecinnym jeszcze uśmiechem wykwitnych gości stolicy, przedstawiała się Flawja kobietom, które składały jej codzienne domowe otoczenie. Stara ale hoża jeszcze Rufilia patrzała nieraz z niepokojem na te liliowej jasności, cieniem łagodnego smutku powleczone rysy swej pani, na jej półjasną mgłę zasuwające się lazurowe oczy, na jej alabastrowej białości smętnie zadumane czoło, które pokrywało się często, jakby szarą chmurką, mącącą niepokalaną, promienną białość delikatnej skóry. W dzieciństwie, gdy Flawja utraciła rodziców, sędziwa Rufilla widziała na twarzy dziecka też taką bladość i cienie na jej rozkwitającem dopiero wdziękami licu. Ale zachwycającej piękności matka Flawji i poważny, w pełni sił męskich zmarły prokonsul Sycylji Flawjusz leżeli już od lat kilku w alabastrowych urnach w grobowcu przy drodze apijskiej, zmienieni w garść szarego popiołu. Z bladego i skrzywionego liczka Flawji ustąpił już dawno wyraz zadumy i żałoby, jaki właściwym jest często sierotom pozbawionym najdroższych, kochających je istot. Teraz zawitał on znowu i niepokoił mocno niegdyś niewolnicę, a dziś najbliższą powiernicę Flawji Rufilję i opiekunów dziewiczego pączka starego szczepu Romy.

Przed rokiem jeszcze Flawia całkiem inne prowadziła życie. Gdy nie chroniła się przed upałami w stolicy do swej rozkosznej willi w Osjum, jechała razem z swymi przybranymi rodzicami Kremnucjuszami do swej posiadłości w Bajach, gdzie zabawiała się wesoło z rówieśniczkami lub używału kąpieli w kryształowych wodach zatoki. Powaga i zaduma właściwą jej była tylko w chwilach zupełnej samotności, kiedy nie miała koło siebie ukochanych przyjaciółek, lub myślała o drogich jej pamięci rodzicach. W takich chwilach biegła zawsze, gdy była w Rzymie, do dawnej pracowni (tablinum) ojca, gdzie na długich, marmurowych stołach leżały zwoje pargaminów, i przesiadywała tu całe godziny.

Stary prokonsul Flawjiusz zwiedził w swej młodości wiele zamorskich krajów i z zamiłowaniem oddawał się studjom filozoficznym w dawnej szkole Platona w Atenach. Nie gardził też i poezją, której arcydzieła starał się posiadać w najlepiej sporządzonych odpisach. Umierając zostawił swej córce prócz milionowego majątku duży, pisany przez lata całe pergaminowy sekstern, który zawierał praktyczne wskazówki, mające jej służyć za przewodnika w samodzielnie lub pod kierunkiem mistrzów przedsiębranych studjach.

Flawja dlugo jednak nie czytała zapisków ojcowskich, aż zwrócił jej na nie uwagę jeden z jej nauczycieli, który był niegdyś przyjacielem i towarzyszem podróży jej ojca po rozległych prowincjach rzymskiego imperjum. Flawja lubiła dotąd zachwycać się samem pięknem form w poezji, malarstwie, rzeźbie, architekturze, a poważne traktaty naukowe zajmowały mało jej wyobraźnię. Szczególnie zaś lubiła marzyć i wtedy prócz Rufilli nikt z domowników nie mógł wejść do pokoju, w którym się znajdowała. Marzenia te były zawsze nieokreślone, mgliste i obracały się zawsze w sferze przeczystych lub widzia-

nych arcydzieł piękna. Leżąc na łożu, lśniącem barwistym kobiercem okrytem zatapiała swe oczy w wysokie sklepienia sufitu, na których wśród różowej mgły powstającej w pokoju z powodu kryształowych, barwnych szyb majaczyły niewyraźnie cudowne myty helleńskie i rzymskie, ręką pierwszych mistrzów stolicy przeniesione z dziedziny wyobraźni w żywe, barwiste kształty. Dusza jej w tedy doznawała wielkiego ukołysania i spokoju samego, jakiem zwykło napełniać serce ludzkie zapatrzenie się w arcytwory myśli genjuszów.

Gdy znudziły ją samotność i marzenie, kazała wołać starej Rufilli swe niewolnice i biorąc do drobnych liliowych palców małą, z kości słoniowej pałeczkę uderzała nią uczenie po cienkich strunach cytry. Niewolnice śpiewały i śmiały się czasem bez końca. Po niejakim czasie odchodziły, a Flawja udawała sie na wieczorną przechadzkę do ogrodu. Od dłuższego czasu jednak Flawja zakazała przychodzić niewolnicom do atrjum, każąc im pracować w swych pokojach, gdzie czuwała nad niemi Rufilla. Sama zaś zatapiała się w pergaminowych foliałach, jakich rzędy stały w ogromnych cedrowych szafach lub leżały w stosach na stołach ojcowskiej pracowni. Tu też, choć cały dom spoczywał już w głębokim śnie pogrążony, spędzała większą część nocy, wertując pożółkłe karty jakiegoś filozoficznego traktatu. Rufila budząc się ze snu, widziała że, choć już promienne blaski pozłociły niebo, łóżko jej pani, śnieżnym okryte byssusem, jest próżnem. Gdy zaś zaniepokojona udała się do pracowni zmarłego prokonsula, zastawała tu owe od niedawnych czasów wesołe i rozkoszne dziewczątko schylone nad kartami ogromnej książki, choć oczy Flawji snem zawarte dawno już patrzyły tylko w krainę marzeń sennych, a białe jasną palią okryte ciało spoczywało nader niewygodnie oparte na bronzowem krześle i brzegach twardego marmurowego stołu

Rufilla uwiadomiła o tem postępowaniu swej pani jej prawnego opiekuna Kremuncjusza, który jednak swymi namowami nie zdołał na długo zmienić nowego trybu życia Flawji. Pobladła jej twarzyczka nabierała dopiero barwnych rumieńców i zdobiła się uoczym uśmiechem, gdy na progu jej pracowni ukazała się postać wysoka, szczupła, w białej, lśniącymi haftami przetykanej stoli, o uśmiechu dziwnie miłym i ujmującym. Był to Fulwjusz, syn jedyny jej opiekuna. Znali się od niemowlęctwa prawie i lubili ogromnie. Kremuncjusze posiadali też willę w Bajach i jeszcze za życia rodziców Flawji stanął między rodzicami układ, mocą którego dzieci ich miały być kiedyś połączone węzłem małżeńskim. Gdy się ukazał Fulwiusz Flawja odkładała zwykle na bok pergaminowe foliały, i uśmiechając się rozkosznie podawała swe różowe policzki do pocałowania przyszłemu mężowi. Zachowywała się wtedy jak dziecko. On siadał gdzieś blisko koło niej, a ona rozpoczynała rozmowę od pytań o zdrowie rodziców Fulwjusza. Fulwjusz miał serce dziwnie miękkie, a serdeczna szczerość jego słów jednała mu ogólną miłość rówieśników i starszych wiekiem. Starszy nieco od Flawji śliczny był jak Apollo, a zgrabna wysmukła jego kibić jednała mu wielbicielki w całym legionie pięknych cór Romy.

Strojny zawsze i lubiący się w bogatych ozdobach, ściągał na siebie nieraz karcące niby surowo napomnienia Flawji, która zwykle ubierała się dość skromnie i prócz zwykłych ozdób, nie nosiła żadnych klejnotów. Biała, inteligentna, ciemnymi zwojami włosów okolona jego twarz odbijała pięknie od błyszczących, barwistych sukień, napojonych zwykle upajającemi woniami. Czarne, duże jego oczy miały połysk brylantu i płonęły zawsze jakimś trwałym, mocnym ogniem młodości. Gdy siedział tedy z Flawją, a różowe blaski szyb oblały ich oboje wpatrzonych nawzajem w swe uśmiechnięte ze szczęścia oczy, zdawali się co najmniej półbogami o jasnej i ciemnej aureoli włosów wijących się koło misternie rzeźbionych głów, którzy pogrążeni w miłosnym zachwycie wpadają w jakiś sen marmurowy, mający ich zakląć w klasyczne posągi piękna i miłości. W takich chwilach cały pokój napełniał się gamą perłowych, śpiewnych wykrzyków i śmiechów, a stara Rufilla spoglądała ze łzami na tych dwoje dzieci, które za sobą i swem szczęściem nie widziały chyba nic więcej.

Po odejściu Fulwjusza Flawja albo czytała dalej, albo zapadała w zadumę, w której przesuwały się przed jej oczyma niezbyt jeszcze odległe, a już tak mgłą subtelną zasunięte chwile dzieciństwa spędzonego w uroczej w willi w Bajach. Wydawało się jej niekiedy, że jest jeszcze kilkuletniem dzieckiem i znajduje się blisko ukochanych rodziców, którzy śledzą miłośnym wzrokiem każdy krok swej jedynaczki, lub płynie z rodzicami na małym baciku przez czyste, lśniące jak roztopione srebro wody zatoki.

Obrazy te lubiła Flawia przywoływać wtedy, gdy odszedł od niej ten, który jak i w owych szczęsnych chwilach dzieciństwa był dlą niej po rodzicach najdroższą na ziemi istotą. Gdy umarli oboje rodzice Flawji, przybrani jej opiekunowie przewieźli ją do Rzymu, gdzie kształcona przez pierwszych mistrzów poznała wspaniałe piękności poezji, wymowy, malarstwo i reszty sztuk Hellady i Romy, nie zaniedbując też muzyki i śpiewu.

Po kilku latach Fulwiusz kształcony z nią razem wysłany został przez ojca do Aten i Aleksandrji dla zapoznania się lepszego z kolebką kultury rzymskiej, skąd wrócił już dorosłym, zapalającym się do arcydzieł piękna, pełnem cichego rozmarzenia młodzianem

*(Ciąg dalszy nastąpi).*